

Rewolucja

Panienka w kapeluszu czytuje filozofów
(a przynajmniej cytuje). Dyskutuje z Kantem.
(Kant milczy szczerze – jak Bóg). Kształtuje poglądy
własne i dba o dobór dobrych perfum, luźnych
spódnic (jaskrawobarwnych, wyżej biała bluzka
lub t-shirt z Che Guevarą). Pretensje dają się
i tak wyczuć z daleka. Równie dobrze przecież

mogłaby się lepiej różnić. To też ciężka praca.
Lud (nie lud – społeczeństwo!) potrzebuje chętnych
ud, wytrzymałych gardeł, by inżynierowie
mogli się zrelaksować łatwo, po rynkowej
cenie, nim wrócą do żon, do rozsuwanych szaf,
szerokich łóżek, lampek, których jarzeniowe
światło wyciąga na wierzch wszystkie szwy.

Panienka w kapeluszu wciąż o tym nie wie
(albo udaje, że nie). Cięła się nieraz,
ale to było *kiedyś*; potem zaczęła studiować
filozofię, uważnie, żeby nie uronić
choć jednego nazwiska. Judith Butler pisze,
że płeć to tylko konstrukt, ale inżynierom
nie jest wszystko jedno, z kim będą zdradzać żony.

Nie mogliby też mieć mężów, bo ci nie rodzą
kształtnych, szczupłych córek, które wyślą do Warszawy
na studia, tak jak ojciec panny w kapeluszu.
(Ona uważa starego za zwykłego głąba,
bo pyta, czy Heidegger to jest nowa nazwa
modelu Mercedesa, zespołu Nergala?).

W tej sali jest tak duszno, że nikt nie ma siły
wstać i otworzyć okna. Albo wyważyć drzwi.
Zdejmij kapelusz – mówię do panienki. *Zdejmie
czy nie zdejmie?* – tak pyta we mnie inżynier,
a na jego koszuli, pod pachami, krzepnie
mi obleśnie lepki pot. Pas – rozpiąć, ulżyć
czas, bo jak długo można nikogo nie wieszać,

skoro rewolucja ma wybuchnąć lada dzień?

Panienki gawędzą

o ciuchach. Ach nie? Więc o Strefie Gazy,
gazie w torebce, niebezpiecznych strefach
miasta, gdzie można codziennie coś stracić
cennego, jak brzuch, nienagannie płaski,
gładki jak skrucha, po której się ślizga,
wstydliwie grzesząc? Pogawędka się skrzy;

kroją, mimicznie, taki spiszek, że niech
zadrzą koledzy. Za dziesięć lat będą
mówić o dzieciach. Albo udawać,
że by nie chciały (znak: unik, kiedy
się ten temat ruszy, choćby tknie półsłowem).
Wstały, a jedna wypłuła do kosza

gumę. To znaczy: jej oddech rozsiewa
tu świeżość. Jędrne pośladki czekają
pod legginsami. Gdybym tylko chciał,
mógłbym ją zabrać do zamkniętej sali.
Rozluźnij mięśnie – będzie mniej bolało,
powiedziałbym jej; wiedząc doskonale,

że umiem kłamać zręcznie, niby handlarz,
którym zostanę, kiedy mi już przejdzie
faza podrywania. Czy to będzie za
mojego życia? *Ty nie umrzesz śmiercią*
naturalną – rzekł, lata temu, Olek,
widząc mnie w akcji. A jeśli miał rację?

Rwie się narracja.